

JAN ZAHRADNIK

Ludziom smutnym

LUDZIOM SMUTNYM

JAN ZAHRADNIK

LUDZIOM SMUTNYM

**Kolekcja
Emila Kormasia**



TOWARZYSTWO WYDAWNICZE ATENEUM

LWÓW 1925



CM KEK 313443

CZCIONKAMI Drukarni Narodowej w Krakowie

Wpisano do Księgi Akcesji

Akc. D1 nr 126 /2011/ CM

LIST OTWARTY

LIST OTWARTY

Bolkowi Brzeskiemu

Nigdy już i nigdzie nie zrobię kroku,
Położę się, zamknę oczy; w ziemi jest spokój.

Cicho pachną kwiaty, wiedzą wszystko, nie dziwią się polom,
Światła wieczorne są jasne, ale nie boją.

Cicho leżą kamienie w wodnej głębinie —
Żadna mnie fala nie porwie: każda ominie, popłynie.

W ziemi jest spokój — pola nie dziwią się polom.
Rzeka nie cierpi — płynie — sama jest sobie dołą.

Zamknąć spokojnie oczy, kamień do piersi włożyć,
Musi być taki ciężki, żeby nie umiał ożyć.

Niech tylko łaż ostatnia ujdzie z pod powiek,
Niech się obejrzy za mną ostatni człowiek...

NA TRZECIM BRZEGU

NA TRZECIM BRZEGU

To było bardzo dawno... Wybladła ulica
Milczała wciąż niezłomnie do gwiazd, do księżycyca.

Ktoś cichy szedł, a w oczach niósł świty zdumienia,
Lęku nie miał przed sobą — ni za sobą cienia.

Szedł cichy płynnym krokiem w gwieździste migoty,
A niósł serce i usta omdlałe z tęsknoty.

I chciał upleść drabinę z gwiazd, co tak się jarzą,
Chciał uderzyć o niebo groźną, twardą twarzą.

(To było bardzo dawno — gdzieś na trzecim brzegu
Ulicy, co leżała w miesiącu, jak w śniegu)...

Wbiegł w ciszę i zaszlochał boleśnie, bezradnie,
Że dna nigdzie nie widać, a wszystko jest na dnie.

SCIANA

Wyśniona, nieprawdziwa, bolesna z kimś rozłąka,
Wzdychając bezimiennie, po ścianie mi się błąka.

W nikogo niewcielone, więzione w mgłach spotkanie
Rozwiewa swoje więzy i pełza w krąg po ścianie.

Znękany blask zachodu, jaskrawy okrzyk miasta
Objawia się i tłumnie na ścianie mi wyrasta.

Znienacka, czyniąc zadość wszelakich widm zagładzie,
Nastaje wielka cisza — na ścianie śmierć się kładzie.

I milczy tak zawzięcie skrzydłami w ćmach obiema,
Że słyhać tylko głośno, jak mnie już nigdzie niema.

NIESAMOWITA GODZINA

Stefanowi Grabińskiemu

Cicho!... Słyszysz? Ktoś stąpa... Drzwi są niespokojne...
Kto to?... Zegar się zbudził... Żar w kominie blednie...
Niby pogrzeb przewlekłe i grozą upojne
Drżą sekundy, struchlałe w północnem bezednie.

Ciemność dziwnie nabrzmiewa za lada szelestem...
O Boże! Coś się staje w niepojętej ciszy; —
Nie jestem teraz sobą — i wcale nie jestem, —
Ktoś inny we mnie czuwa i patrzy i słyszy...

Krok w krok za moim dreszczem suną nieprzerwanie —
O potajemne drgnienia niewidzialnych kotar! —
Jakieś długie i wieczne milczące otchłanie,
Głębie, o które każdy z nas lękiem się otarł...

Trwoga miota się w kącie — i oczom się marzy
Niemota ust, rozdartych w przyduszonej męce
I oczy, czyjeś oczy, bez powiek, bez twarzy,
I ręce, nieprzytomnie wyprężone ręce!

Jak niezmiernie daleko, jak strasznie daleko
Idzie ta bezbrzeż, śmierci łaknąca i pusta!
I coraz to się jawią i wleką się, wleką
Slepe ręce i cicho rozkrzyczane usta...

Wychyla się z otchłani lodowata groza,
Rozprasza mroki kotar lodowatym gestem —
I szepce o tem wszystkim, co jest wiecznie poza.
Nie jestem teraz sobą — i wcale nie jestem.

J A Z D A

Dworzec, niepokój i pośpiech. Z daleka
Czai się przestwór i czeka i czeka.
Ruszamy. Tupie, stukota i dudni.
Wpadamy w otchłań śródpowietrznej studni.

Jedziemy. Z nami ból nasz oczajdusza
Włazł w serce, niby w wagon — i też rusza.
W mig się mijamy z borem, lasem, polem,
Tylko się minąć nie możemy z bolem.

Telegraficzny słup. Już uciekł w lewo.
Drzewo przydrożne. Słup, drzewo, słup, drzewo.
I znowu drzewo i znowu słup jeszcze
Niby wysmukłe ścigają się dreszcze.

Słupy, na wietrze rosnące stokrotnie,
Maszty bez żagli, biegnące samotnie,
W ból was, jak w całun żaglowy owinąć! —
„Musimy wiecznie płynąć, płynąć, płynąć“...

Drzewa, wśród własnych zagubione cieni,
Łaknące wiatru, jak ducha zieleni,
Ból wam rzucimy, jak wiatr, między liście! —
„Musimy migać i mijać wieczyście“...

A my jedziemy wiatru chybkim szczytem,
Oczy nam mogą oddychać błękitem,
Co tak dokoła ogromnie się toczy,
Ze nie znać już, co błękit, a co oczy.

Lecim zawrotnie po świata krawędzi,
A z nami ból nasz też leci, też pędzi —
I rytm ten bolu ogromnie się splata
Z gwarem wagonów i bezmiarem świata.

Bolu, w niczyją nie zaklęty postać,
Gdzie wreszcie zdołasz przystanąć i ostać,
Aby już wzrokiem wierzbnych łbów nie zginać,
Aby już piersią nieba nie przecinać...

„Jadę tak z wami tu, w tym kół hurkocie,
W lada przydrożnym zaczajony płocie,
W lada samotnej zgarbiony wierzbynie,
W lada jeziornej zapadły głębinie...

I będę gnał tak po tej wielkiej glebie,
Byle za sobą pozostawić — siebie.
Aż się roztopię cały i zamienię
W te dookoła otwarte przestrzenie.

I będę gnał tak przez góry, przez rzeki,
W ten kraj, co nigdy nie jest dość daleki —
Do wód, do ziemi, do wiatru, do słońca,
Do tego końca, co sam nie zna końca!...”

Z E G A R

Nie patrzę na bezdroża dokoła ni rozstaje,
Bo słucham tylko tego, co w głębiach mych się staje.

I wszystko jest mi obce, co ciszy tchem nie drąży
I wszystko jest mi martwe, co tak, jak ja, nie krąży.

Wpatrzony poprzez siebie w niezłomny chwil bezpowrót,
Wiem, że Bóg tak jest krągły, jak tarczy mej kołowrót.

Wskazówka idzie zwolna, jak groźna czyjaś ręka,
Sprężyna raz wraz jęczy, jak serce, co nie pęka.

I tylko czasem we mnie straszliwie coś się nuży,
Bo zawsze stoję w miejscu, choć ciągle trwam w podróży.

I czasem, gdy zbyt wiecznie dokoła siebie chodzę,
Sam pytam się, gdzie znajdę po tej zawrotnej drodze.

Mknie we mnie nieruchomym godzina po godzinie —
Ja wiem, że wszystko stoi i wiem, że wszystko płynie.

Ktoś w wnętrzach mych daleki, kto same szmery słyszy,
Tej pragnie szeptem. której nie zazna nigdy — ciszy.

I suną senne cienie po smętnej mojej twarzy,
Chociaż nic mi się nie śni i nic mi się nie marzy.

Kołata w mych tykotach zgorzkniały grymas starczy,
Choć żadne widne rylce nie zjarły twardej tarczy.

Coś wieszczę bezustannie i gadam w krąg pacierze,
Chociaż nic jeszcze nie wiem i choć już w nic nie wierzę...

A tylko w nocy wstaje, jak sen, jak cień, bezsprzeczność
Jedynej mej mądrości: żem wchłonał w siebie wieczność.

W jasnej, szumiącej kawiarni
Siedliśmy wszyscy za stołem;
Niosła się gwarna rozmowa,
Uśmiechy niosły się kołem, —
On także siadł między nami.

Rozgłośnie grała muzyka,
Tryskały światłem zwierciadła,
Sala ogłuchła od wrzawy,
Sala od blasków pobladała, —
Zdaleka biorą się cienie...

I opar szedł oszołomny
W tym gwarze, w tym tłumie, w tym żarze,
Od śmiechu nabrzmiały usta,
Od wina nabrzmiały twarze, —
Umieją rozsuwać się ściany...

I każdy patrzył pierzchliwie
I każdy pośpiesznie się witał
I każdy znieńacka się żegnał
I nikt nic nie szeptał, nie pytał, —
On także był między nami.

CIEŃ NA ŚCIANIE.

Spłynął — znikąd i ze mnie — wzdłuż ściany perłowej —
Słyszałem, jak się cichcem rozrasta i skraca;
I w ogromnym znużeniu schylił nisko głowę —
Pochylił nisko głowę, na znak, że powraca...

Dotknąłem ściany ręką, by dociec, czy kłamie:
To nikogo nie było, — więc on był na ścianie.
Zajrzał we mnie naoslep i wyciągnął ramię
I czerniał coraz ciemniej, na znak, że zostanie.

W każdym goście był niemy, mroczny i rozwiewny
I mówił tylko o tem, że mówić — nie umie
I że w dzień jest pierzchliwy i w nocy — niepewny
I zawsze jest samotny, nawet w cieniów tłumie.

Skąd wracasz, gościu ciemny, a tak dziwnie błądy?
Nieprawda, żeś jest ze mnie: tamtemi drogami
Ktoś cię tu pchnął, byś milczał, ktoś inny — na zwiady,
Ktoś inny, — byś drzącemi zakrył go piersiami.

Niemasz grozy w twej czerni ani w twojej ciszy,
Jeno w tem, co jest może — lub nie jest — za tobą
I w tem tylko, że mrok twój trwa i życiem dyszy,
Chociaż żadną nie jesteś rzeczą ni osobą.

...Daleko i głęboko nachylał swą postać:
Dziwne znaki słał komuś stamtąd potajemnie —
Wzywał mnie, by iść za nim, by nie stać, nie zostać...
Śmierć kryła się w tych gestach i głębiach i we mnie.

Bryznięłem mu w twarz światłem w przelęku i dziwie,
By oslepić go, w blasków zatopić powodzi, —
On zachwiał się śmiertelnie i pobladł straszliwie,
Straszliwie począł blednąć, na znak, że odchodzi...

Wolał mnie jeszcze ciszy i mroków ostatkiem,
Nim, jak fala, co idzie na dno, jął przebrzmiewać
I nim po morzu ściany niezmiernem i gładkiem
Począł się coraz dalej rozlewać, rozwiewać...

Ramiona, niby skrzydła, odbiegły go same:
Zdało się, że te skrzydła coraz głębiej w mgle ma;
Wkońcu, mdlejąc, na pułap rzucił jasną plamę,
Na znak, że jest tem właśnie, czego wcale niema.

I świeciła ta wielka, biała, pusta plama,
Jakby prosto w dalekość rozpostarta brama.



MARSZ ŻAŁOBNY

Przemknęli w mrocznej opończy
Przez próg, kędy północ się kończy.

W głąb niewidomych przestrzeni,
Jak cienie błądzą wśród cieni.

Nie wiedzą, gdzie sąd ostateczny,
Nie widzą, gdzie Sędzia Przedwieczny.

Bezdroże — jedyną im drogą.
Skąd wyszli? Idą — do kogo?

Idziemy, idziemy, idziemy,
Każdy z nas ślepy i niemy.

Każdy z nas martwy, żałobny,
Jak krzyż ten nad nami nadgrobnym.

Nikt jęku nie wyda, ni głosu —
Dopełnić chce los swego losu.

I każdy idzie, choć leży
I każdy wie, choć nie wierzy...

Jesteśmy czemś, czego niema
Za świata stronami czterema.

Trud żaden nie zda się na nic:
Zgubiliśmy drogę do granic.

Świat cały zgubił nas w sobie,
Jesteśmy, choć niema nas, w grobie.

Suniemy przez jakieś otchłanie,
Nie znamy, co spoczywanie.

Jest tylko trud i daremność,
Jest tylko nicość i ciemność.

Na wieki wieków podróżni,
Przez próżnię idziemy do próżni.

Wieczność, jak grób, nam otwarli —
Jesteśmy biedni umarli.

DIES IRAE

Dzień on wielki w bożym gniewie,
Wieki skruszy w proch, w zarzewie,
W Dawidowym przejrzan śpiewie.

Jakaż groza śłać się będzie,
Gdy na straszny sąd zasiędzie,
Nad Którego niemasz sędzię!

Gruchnie trąba pełna gromu,
Runą groby pełne sromu,
Wzrośnie tron pełen ogromu.

Śmierć i żywot bez tchu stanie,
Skoro z martwych stwór powstanie
Na straszliwe z Nim spotkanie.

Księga losów już otwarta,
Wieczność świata w niej zawarta
I wyroków bożych karta.

On zaś, jeno wszcznie sądenie,
Na jaw z głębin wyjdą cienie:
Nic nie przetrwa niepomszczenie.

Kogóż mi się wondrous lękać?
Kogo wołać, przed kim klękać?
Jak się kajać, jak się nękać?

Królu w groźnym majestacie,
Zabacz o powinnej spłacie,
Nie wiedz-że mnie ku zatracie.

Przepuść Jezu, mej przewinie,
Żem Cię lżył, przepomnij ninie,
W tej strasliwej, w tej godzinie.

Dla mnie-ś wszedł w ogrojca ciemnie
I na krzyżu-ś zwiśł przezemnie:
Ma-ż iść tyli znój daremnie?

Sprawiedliwy, nierychliwy,
Dar mi łaski zgotuj żywy,
Nim nastanie dzień on mściwy.

Sam się winię, sam się korzę:
Twarz od sromu cała gorze:
Skruszonemu sfolguj, Boże!

Któryś Marji zmazał grzechy,
I niósł cuda w proste strzechy,
Nie poskąpisz mi pociechy.

Modły swoje ślę niegodnie:
Lecz Ty, dobry, spraw łagodnie,
Bym we wieczne nie wszedł ognie.

Z wybrańcami sproś na gody,
Od przeklętych oddziel trzody,
Od lewicy Twej urody.

Poskromiwszy zasię onych
Na żer ogniom porzuconych,
Staw mnie wśród błogosławionych.

W skrusze błagam i truchleję,
Próchno serca ledwie tleję:
Bacz na duszne me koleje.

W dzień on krwawy, w dzień on łzawy,
Który wznieci się z kurzawy
Gwoli słusznej bożej sprawy,

Racz nam grzesznym, dobry Panie,
Wieczne dać odpoczywanie,
A tak niech się stanie. Amen.

BALLADY — GROTESKI

BALLADA O CZŁOWIEKU BEZ DUSZY

Południe. W szumie miasta,
Co wszystkie szумы głuszy,
Szarzeje jakiś człowiek,
Człowiek, co nie ma duszy.

To śmieszne. Tem śmieszniejsze,
Że nawet tego nie wie,
Czyli jej nie miał nigdy,
Czyli miał drzewiej, drzewiej...

To śmieszne. Lecz wy, bracia,
Nie, wyście nie zaznali,
Co znaczy zgubić duszę
Gdzieś w niepowrotnej dali...

Nie wiecie, mając duszę,
Co gąszcz przestrzeni trzebie,
Jak można nieprzebycie
Daleko być od siebie.

W rozmowie, rozmodleniu,
W zadumie, w szale, w tanie,
Przy winie, przy dziewczynie
Spodzianie, niespodzianie, —

Naczembądź wzrokiem spocząc,
Naczembądź myślą ustać —
Otwiera się milcząca
I nieprzejrzana pustać...

I wszędzie, wszędzie, wszędzie
I zawsze, zawsze, zawsze —
O, bracia! czyż być mogą
Komedje łzawsze, krwawsze?

I nigdy nie być sobą
I być, a jednak nie być,
Bo na spotkanie siebie
Trza nieskończoność przebyć...

Wyruszył tedy w drogę —
O duszo, duszo, duszo! —
Jął szukać w szumach miasta,
Co wszystkie szумы głuszą.

A naprzód szedł do ludzi —
O ludzie, ludzie, ludzie! —
Dano wam wasze dusze
W beztrosce i beztrudzie.

I w oczy bliźnich wzrokiem
Wzerał się podejrzliwie —
Badał, czy na dnie czyich
Kradziona dusza żywie.

I poszedł do dziewczyny
Oddanej, miłowanej,
Chciał z ust jej wypić duszę...
O smaku niezaznany!

I wołał wielkim głosem
(Błądna go zwiódła droga):
„Oddaj mi moją duszę!
„Oddaj mi mego Boga!”

Napróżno jęczał, żebrał,
W szaleństwie wołał do niej —
Słabości słodkich oczu!
Niemocy wiotkich dłoni!

W niemocy pękło serce —
O serce, serce, serce! —
A dusza ścichła. Poszedł
W rozterce, w poniewierce...

Dobierał się okrutnie
Do wnętrza, do trzew zegarów...
Chciał duszę z nich wydzwonić —
Szaleńczy, śmieszny narów!

Nad wodę poszedł w nocy —
O wodo, wodo, wodo! —
Czy dusza tak się srebrzy
I drzy pod twą ochłodą?

Rozwazał, widząc zdala
Toń wodną w srebrnym chłodzie:
„Może-ż być dusza — srebrną?” —
To księżyc spał we wodzie.

Chciał wmodlić w siebie duszę
We mgle kościelnych zacisz...
Lecz te mu wciąż dyszały:
„To mgła... stracisz ją, stracisz“...

Stracił tę mgłę — a próżnia
Pogłębia się i wzrasta...
Czyż można taką ciszę
Zagłuszyć w szumach miasta?

I teraz w szumach miasta,
Co jeno szumy głuszą,
Szarzeje człek bez duszy. —
O duszo, duszo, duszo!..

S E R C E

Co to za łomot w górach szaleje burzliwie?
Wszak nie głązy się wałą w dziecięcej pustocie;
Słońce chodzi bez gwaru po skalistej niwie —
Ciche jest, choć ślad stóp swych macza w dźwięcznem złocie.

Słuchajcie, jakie żywe gromy i tętenty!
Słyszycie? Jasna tylko radość tak grzmieć może —
Jakiś niepospolicie zwarjowany święty
Ciska sercem o twarde, skaliste bezdroże.

Ciska niem bezlitośnie o zębate zręby,
Wołając w takt podrzutów z surową pokorą:
„Wpieść się, ułomne serce w te kamienne kłęby!
Ucz się goreć tym hartem, którym skały gorą!

Niby piłką naoslep rzuca niem i ciska,
To gdzieś w załom niem huknie, to o granie gruchnie,
A to serce — nie krwawi, to serce — nie pryska,
Tężeje w skrzepłą bryłę, co krwią nie wybuchnie.

Potem w groźnej szarzyźnie kamiennych obramień —
Któż przejrzy głaźnych szczytów słoneczną dziwotę? —
Tó serce, wkute w głązy i stwardniałe w kamień,
Roztopia się we słońcu, uśmiechnięte, złote.

BALLADA O BŁĘKITNEJ ROZY

Przejeżdżał rycerz błękitny przez miasto nocną godziną,
Wieżami ostrzył się kościół i księżyc białął łysiną.

Cień jeźdźca ślizgał się za nim, jak wąż i drzał nieprzytomnie —
Śnać chciał się skryć w którymś z domów, bo zawsze czerniał
bezdomy.

Gdy rycerz przebył już miasto, porwała go gładka droga,
Taka samotna, że tylko w próżnię nie była uboga.

Wśród płaszczyzn gołych, bezdrzewnych, poświaty pełna, by mleka
Naprzekór gwiazdom stojącym płynęła droga, jak rzeka.

Leciały długie godziny i leciał rycerz na koniu,
Poświata biała leciała, bez ruchu leżąc na błoniu.

A ciemność coraz to bladła i światło było wciąż bledsze —
I wszystko było bezkresne i Bogiem tchnęło powietrze.

Bóg gdzieś tu był nieopodal, albo znajome snom kwiecie,
Nieśmiertelnością kwitnące, w jakimś kryjome zaświecie.

Niebo ciemniało zamierzchłe, niby dalekie dno morza,
Gwiazdne zasnuły je kraby, zwiększając zamęt bezdroża.

A pośród ciżby wszechgwiedznej, wśród szlaków mlecznych i wstę-
Jak perła osierocona, wkrąg zawieruszał się księżyc. [życ,

I krągłał księżyc jak perła, jak perła snami bezcenna,
W uśmiechu zawsze jednaka, we smutku nigdy niezmienna.

Tymczasem na widnokręgu, jak był rozlewny i długi,
Stęsknionym oczom rycerza świetlane rozkwitły smugi.

Nie wiedział, czy to jakowaś ziemską się łuna pożarzy,
Czy jakaś Bogu pokrewna niebieska światłość się chmarzy.

I tylko w zbożnym zachwycie cały pogrążył się w niebie,
Samemu sobie nieznany, bo wraz zapomniał sam siebie...

Mknął wszelkim kresom napoprzek z niesamowitą szybkością,
Żywcem porwany łagodną, w mgły zapowitą jasnością.

Przestrzeń mu była zaporą, powietrze — twardą zawadą!
Ból mu czyniły dróg szmaty, co do przebycia się kładą.

A światłość rosła i rosła i wielka woń skądciś mdląła,
Że nawet przestrzeń rozmiękła, nieustępliwa, ospała.

Aż wreszcie rycerz błękitny, wędrowny w wiecznej tęsknocie,
Dobiegł obrzeży jeziora, łagodnych w wielkiej niemocie.

I przypadł w szlochu do ziemi i zaczął całować ziemię
Za tę jej gorycz kojącą, co niespożycie w niej drzemie.

A kiedy podniósł ku górze zamglone szczęścia mgłą oczy, —
Oślepl: to róża błękitna z wodnych świtała otoczy!...

U wód tych iści się cud, jak u najświętszego ołtarza:
Smukła łodyga w koronę błękitną się rozwachlarza.

I patrzył snem opętany, zasłuchanemi oczami,
I pił tę woń, co tak szemrze, nie-domkniętymi ustami.

Tak zaprzepścił się w ciszy, że nie czuł, jak go przesyca
Echo z oddali niebytu — ogromna, słodka tęsknica.

Taka, co pragnąć nic nie chce, co nic pożądać nie umie —
Własnego syta ogromu i własnej ufna zadumie...

Niezmierne szczęście błądziło po owem niemem bezbrzeżu —
O różo, różo błękitna! Rycerzu, błędny rycerzu!...

Błękitny rycerz obłądnie powierzył się cieninym falom
I począł płynąć po różę ku owym dalom, ku dalom...

Nie wiedzieć za czyją mocą, czy może własną niemocą,
Dopłynął do tej przepaści, gdzie głębie, milcząc, chichocą.

Chciał się dopytać zapachu i barwy nieskończoności,
Chciał ujrzeć, jak boleść życia w wieczyste szczęście się prości.

Dwakroć kwiat chylił ku sobie, dwakroć go w głodne brał dłonie
I dwakroć czuł, że napróżno — kwiat się wymyka, on tonie.

Czuł, że łądyga się pręży, soczysta i nieumarła, —
Snać, chociaż była tak lotna, głęboko w ziemię się wżarła.

Szeptala, pieszcząc błękitem północne ócz jego ciemnie:
„Rwij wszystkie kwiaty na świecie, ale nie mnie, ale nie mnie!...

„Czyż ci nie dość, że w przestworach tych kwitnę i błękitnieję — ?
„Chcesz im odebrać nadzieję — i więcej niżli nadzieję!

„Chcesz wziąć im wiarę i miłość — więcej niż wiarę i miłość!
„Wiecznego szczęścia niedosyt, wiecznego życia opliwość!“

Nie słuchał rycerz błękitny tej woni, która tak szemrze,
Że przestwór się odewciela i nie mrze przestwór, i nie mrze.

Lecz ciął łądygę zębami, nadpijał krew jej kwiecistą,
Bardziej od wiatru powietrzną, bardziej od wód przeźroczystą.

I nagiął różę ku sobie, nadłamał w kwietnem kolanie,
I objął głodnem ramieniem błędnych swych śnień ukochanie.

Bezduśnie pomknął ku brzegom, jak ten, co żywcem ucieka —
A wody tak uciążliwe, a droga taka daleka!

Cudem-niecudem dopłynął, gdzie fale w ziemię twardnieją —
I omdlał, oszołomiony wszystko mącącą zawieją.

Gdy się ocucił, dokoła świt niewyraźny powstawał —
Na cichem wczoraj jeziorze wichru rozszalał się nawał.

W środku jeziora, jak upiór, groźny klątwami na migi,
Wysterczał boleśnie kikut okaleczanej łodygi.

Rycerz na koń wskoczył z różą i pomknął znowu tą drogą,
Która tak samo, jak wczoraj, dziś była pełna nikogo.

I nie czuł, jak za plecami, soczystem złotem kapiące,
Niby przedziwna jagoda, wytrysło opasłe słońce.

Pędził bez tchu, bez pamięci, lotem, co wichrom urąga,
A cień go przecie wyprzedzał... zdało się, że go pociąga.

A kiedy przybył do zamku o krwawym słońca zachodzie,
Kazał zasadzić swą różę w słonecznym, jasnym ogrodzie.

Lecz wraże było jej płatkom słońce rozśmiane i tłuste;
Fiolet jej znieawidził słoneczną blasków rozpustę.

I wiodła w oczach nieledwie, w każde dziś insza, niż wczora,
Z dnia na dzień bardziej przedśmiertna, z nocy na noc bardziej
[chora.

Łodyga zgięła się w kabłąk, łysiała sina korona,
Tak cicho patrząc się w niebo, jak ten, co wie, że już kona.

Umarła w końcu — bez jęku — nikt nie wstał z martwych przez
Wieczorna cisza prosiła o wieczne odpoczywanie. [łkanie —

A błędny rycerz nie szalał — a nawet zgoła nie płacze, —
Ku niebu tylko obraca przygasłe oczy-tułacze.

Otwiera usta, by krzyknąć, a głos umiera bez echa —
I księżyc błędąc wieczyście, po wszystkim czas się uśmiecha.

Księżyc uśmiecha się, bowiem po nocach wciąż mu się marzy
Bezsilność wzniesionych dłoni, ułomność znękanych twarzy.

Ogrodnik wyrwał, wyrzucił bezużyteczny chwast róży,
Wyschły z półłysą koroną, niby szczerbaty brzeg kruży.

Samotniał kwiat ten obrzedni przy drodze, gdzieś na uboczu,
Nikt go nie dostrzegł, nikt serca nie miał dla niego ni oczu.

Zdarzyło się, że gościńcem kroczył wieprz pełen godności;
Ujrzał kwiat, zwąchał i w końcu — zaczął go jeść z ciekawości.

Niesmaczne było to jadlo — lecz czego wieprz nie dokaże!
Przełknął więc — i wnet wyrzygał (że się niechlujnie wyrażę).

Wieprz wprawdzie nie jest wybredny, zre wszystko, w błocie się nurza.
Lecz nadewszystko niestrawną jest chyba błękitna róża.

POŁUDNICA

Bosom

Biegła przez pole, kłaniałam się kłosom.

Rzeką

Płynęłam w słońce i tam, gdzie daleko.

W lesie

Byłam, zielona, jak wiatr, co mnie niesie.

Nie wiem:

Mgłą jestem wodną, czyli sercem drzewiem.

Ziemia

Jurna, soczysta we mnie się rozplemia.

Słońce,

Słońce jest we mnie, krzyczące, jarzące...

Płyną

Roki-uroki, ja wciąż jestem ino.

OSMĘTNICA

Żale wy moje, żale, kiedyż was przeżalę?
Dale moje, oddale, kiedyż się w was wcałę?

Doloż moja, niedolo, schylona nad rolą!
Wolo moja, niewolo tych snów, co tak bołą!

Ręce moje powiewne, pajęczce, dziewczęce!
Oczy wy moje rzewne, oczy wy, odmieńce!

Siostry me, bladolice siostry: osmętnice!
Światy moje: poświaty, mgławice, księżyce!

Noce, wieczyste noce w dalekiej pomroce!
Co za niemoc w was mdleje, chyboce, dygoce?

Bogi moje: nad drogą rozszlochane krzyże!
Drogi moje: mgły senne zbłąkane w szafirze!

I wy, wodne zadumy, poszumy i śniegi!
I wy, wietrzne skądś zbiegi, i wy, gwiazdne ściegi!

Żale wy moje, żale, kiedyż was przeżalę?
Dale moje, oddale, kiedyż się w was wcałę?...

M A L A R Z

Malarz jakowys całą swęj sztuki zawilość
Chciał wrazić w rzecz stubarwną: jął malować miłość.

Rozścielił więc na ścianach płótnisko olbrzymie
I malował to wszystko, co ma dziwne imię.

Jakieś ze krwi burzliwej lęgle południce,
O prężnem licu maków, lub zgoła bezlice.

Jakieś nikłe, rozpierzchłe, pół-błękitne zjawy,
Poczęte, tchem muśnięte w mgłę kościelnej nawy.

Jakieś gąszcze, głębokie strasznie od zieleni,
Jakieś cienie świetliste i światła bez cieni.

Ale postrzegł, że farbom czegoś więcej trzeba,
Niż szarów krzepkiej ziemi i błękitu nieba;

Ze głąb tafli płótnianej wiecznie barw łakoma
I że pełnia obrazu wiecznie w kształtach chroma.

Mimo przesyt na płótnie rozjarzeń i cienia
Począł malować wszystko, co nie ma imienia.

Sprzęgał farby swe w tajne, niewymowne rymy,
Jaskrawe, jak płomienie i lotne, jak dymy.

Zlewał barwy w przedziwne akordy i tony —
W grzmiące wybuchy purpur, w blade szklane dzwony.

Łowił w swoje tęczowe zamglenia i prochy
Wszystkie serdeczne skurcze, roztaje, rozsłochy...

I wezbranych dreszczami cisz leniwą słodkość
I nabrzmiałych woniami śnień pieściwą wiotkość...

Poił się wszelkich barwnych półtonów oddechem
I tysięcznych półcieni kolorowem echem.

Wtem poznał, że w tej twórczej żądzy i rozterce
Spełzła barwa najżywsza, — że zwiędło w nim serce.

Wtenczas świat mu dokołny w przygarść próżni zmałał,
Skruszył się, zawieruszył — i malarz oszalał.

Porwały go, poniosły jakieś szumne fale —
Uwziął się to malować, czego niema wcale.

I jął snuć z pod kaptura malarskiej oponczy
Wszystko, co nie zaczyna się ani nie kończy.

Szukał przeto farb takich na swojej palecie,
Żeby mogły być chociaż przedświatem w zaświecie.

Czekał, aż na nich wieczność swój oddech położy,
Aby obraz był bardzo daleki i boży.

Aż poznał, że to wszystko nie tu jest lecz we śnie, —
Rozpadł się w nim strzép serca — i pomarł przedwcześnie.

I leży teraz w ziemi, gorzkiej niby ałun,
Owinięty w ten obraz, — w ten śmiertelny całun.

PIELGRZYM

Szedł pielgrzym byle przed się i byle najprościej,
Rzucił dom swój, swe wszystko — w drętwoicie i chłodzie.
Bez żalu i uciechy po wioskowym moście
Przechodząc, spojrział w głąb — i twarz zostawił w wodzie.

Poszedł precz, nieświadomy zguby i niepomny,
Ze się w nim fala wodna ozwała i skarży,
Aż w drodze, jako piorun, nagły i ogromny
Dreszcz go raził, bo poczuł, że nie ma już twarzy.

Szedł oto kraj za krajem i ziemia za ziemią,
Świetliły go roztopy słoneczne i blaski,
Wtem poczuł, że te światła gubią się i drzemią
W zblakłych oczach, jakgdyby miał twarz pełną maski.

Stoczyła go kalectwa szarość i ohyda:
Na wieki zaznał głuszy bezsmaku, ciemnoty...
(Już mu się nigdy strumień soczystym nie wyda
Ani szum nigdy sennej nie przebrzmi drzemoty,

Ani czerwień mu nigdy nie będzie czerwona,
Ani woni straconem nie zazna obliczem,
Ani śmierci nie pozna, gdy przyjdzie — i skona,
Nie wiedząc nawet w grobie, że nicość jest niczem).

W noc tylko jakaś ziemia stawała zamglona,
Zmierzchły dom w szarych dymach, siny cień świetlicy,
Mrocznych krzyżów rozdarte rozpacznie ramiona
I drogi, jak spłowiełe posmugi tęsknicy...

Zapragnął tedy wrócić i szukał w pośpiechu
Ścieżki, do owych rzecznych biegnącej rozpadów —
Nie miał ust, by do drogi zaczerpnąć oddechu,
Nie miał oczu, by własnych dopytać się śladów.

Szedł więc zwolna, bezdusznie, omackiem i sztywnie,
W jakieś manowce błdził i grzęźniał samopas;
Świat dokoła się błąkał tak szaro, tak dziwnie,
Słońce mżyło, jak żółcią przesycony topaz.

Grzął w szarość — aż raz zabrął bezwolnie, bezwiednie,
Nad rzekę, co się sama w swych falach odbija —
Nie wiedział, że we wodzie zgęszcza się i rzednie
Zgubiona twarz, co niby pierzcha, a nie mija.

Nie widział, jak się szklila ogniami witraży,
Nie słyszał, jak nań długo szumiała, wołała —
Stał jeno kadłub, własnej swej stęskniony twarzy
I płynęła naprzeciw ta twarz, prózna ciała.

Lecz nikt nie wie, jak długo pobyl nad tą rzeką
I czy zdołał się wreszcie do grobu położyć,
Ten, kto napół nie istniał, pół istniał kaleko,
Ten, który własnej śmierci nie nadążył dożyć.

I nikt nie wie, jak długo pobył nad tą rzeką,
Nad rzeką, której „wieczność“ mogło być na imię, —
A tylko słychać było szeroko, daleko,
Jak się w niej tłumi, szumi twarz-serce pielgrzymie.

CZŁOWIEK CZTERECH ŻYWIOŁÓW

Wyszedł z przestrzeni niezmiernych i czasów
Człowiek nieznanym i wielki, jak świat,
Wyższy od wszystkich gór i wszystkich lasów,
Starszy od wszystkich, jakie były, lat.

Twarz miał i głowę uczynioną z słońca,
Kadłub — z powietrza, nogi — z rzecznych smug;
Trwał nieruchomo, ogromniał bez końca,
Przed się ni za się nie mający dróg.

Nie widział nigdzie blasków ani cieni
I szum go znikąd nie dobiegł ni grom,
Nie drżał od chłodu, nie tlał od płomieni,
A głaz najsroższy nikłą był mu mgłą.

On sam był głazem, światłem, wiatrem, zarem,
Sam tworzył lata od najmłodszych lat —
I, unicestwion własnym swym bezmiarem,
Sam będąc światem, nie wiedział, co świat...

Był kołowrotem zmian, co się nie zmienia
I trwał nieznacznie, jak we śnie — aż raz
Przejrzał, że nie ma własnego istnienia,
Skoro w nim przestrzeń istniała i czas.

A wtedy ożył — jeden raz, jedyny: —
Przełękł się nagle, że mu bardzo źle —
I, niepamiętny miejsca ni godziny,
Poblądł i cały rozpułynał się w mgle.

HAMLET W KNAJPIE

Pić albo nie pić — oto jest pytanie. —
Nim serce wyschnie, nim się krew spopieli,
Niech się raz jeszcze zachwieje w tym dzbanie
Przed pjanym wzrokiem blady cień Ofelji.

Sił nie mam walczyć: wszak zemsta i dłoń już
Słabną z pijaństwa, bo druhy, kochanki,
Ojciec nieboszczyk i błazen Polonjusz —
Świat cały leży na dnie mojej szklanki.

Dość tej boleści i tej wewnętrznej pracy!
Sprawom doczesnym nie poradzisz nijak; —
Raczym się w trójkę: ja, stoik Horacy
I stryj mój, Klaudjusz, cny kompan, bo pijak.

Jedną wiem prawdę: bez końca się nieci
Pragnienie ludzkie, wielkie jak tęsknota,
Bo okrom życia i śmierci świat trzeci,
Jak wino w czaszce Yoricka bulgota.

K O L U M B N A M O R Z U

W dróg niepowrocie i w majestacie rozpiętych żagli,
Ludzie nieznani, bardzo samotni, bardzo omdlali,
Wybladli z głodu, od wichrów szorstcy, od słońca smagli,
Płyniemy, dokąd dal nas poniesie i jeszcze dalej...

Morze narasta coraz i rykiem grozi przeciągłym,
Albo się fale w złowroziej ciszy do siebie tulą, —
Ale widnokrąg znaczy się jasno łukiem okrągłym
I słońce w przepaść wód wpada: ziemio, musisz być kulą!

Są sny niekiedy bardziej, niż jawa wszelka przytomne;
Są duchy, których czas nie zadławi, duchów morderca;
Są czasem wole tak rozpętane i tak niezłomne,
Że ich nie struje nawet podstępny, cichy jad serca...

Serce, bądź twarde! — i raczej w sromu pożarze spłoń mi,
Niżbym cię widział, że się niezgasłym zniczem nie żarzysz! —
Nic to, choć zginie z zaciśniętymi bluźnierczo dłońmi
Jeden po drugim, aż do ostatka, żeglarz-towarzysz.

Ja sam zostanę i moja ze mną myśl nierozumna,
Ja sam popłynę w niedoścignionym ducha rozpędzie!
Choćby mnie poniósł okręt zczerniały, niemy, jak trumna,
Ku brzegom, których na tym tu świecie nigdy nie będzie.

Czas mi i przestrzeń pokruszy, pożre maszty i reje,
Jeno się liny, zbłąkane w wodzie smutnie rozplotą,
Słońce mnie spali, ciężar mórz zmiążdży, wicher rozwieje,
Aż się sam własną, nienasyconą stanę tęsknotą...

Aż wieczna burza na podróż wieczną mną zakolysze,
Aż mnie poniesie fala za falą, fala na fali,
Aż mnie ogarnie morze nad morza, cisza nad cisze —
Głębia narasta i płynie z nami dalej i dalej...

SLEPIEC

Widział wszystko: żal własny, żal, ukryty w dłoniach
I śmierć swą, siwiejącą wciąż mocniej na skroniach.

Widział, jak mu wyszali szpik i w mózg się wżarli
Nieznani obcy ludzie: żywi i umarli.

Widział, jak drzącą smugą w rzekach się odbija
Nieziemna czyjaś boleść, — a nie wiedział czyja.

Widział drogę, otwartą w cztery świata strony,
Wschód drogi zawsze jasny, zmierzch zawsze zamglony...

I widział, jak w nim serce wezbrało i wzrosło,
Przerosło go i w świat go daleki poniosło...

Płynęło z nim naprzelaj po tym wielkim świecie —
Światy, ukryte w sercach — i gdzież wy płyniecie?

Biegło z nim po jesiennym, zczerniałym zagonie —
Zagon pachnie, bo serce, jak żywica płonie.

Wiodło go ponad miasta szerokie, głębokie,
Mijało mgły i gwiazdy, — serce ty wysokie!

Leciał więc, niby skrzydła rozpostarłszy pięście —
Wtem przeczuł, że się zbliża z ukrycia nieszczęście.

Lęk mu krew zwarzył w wodę i pobielił usta,
Śmierć i wieczność się zdała jednakowo pusta.

Nie wiedział, jaką farbą pobielić tę bladość,
Kogo prosić o folgę, komu czynić zadość...

Szukały go omackiem niewidzialne ręce,
Nie umiał siłom umknąć ani sprostać męce.

Słyszał kroki, jak cicho biegły i powoli
I wyczuł całą mocą, że go życie boli.

Czekał ciosu — a wiedział, że cios ten się zdarzy, —
Bo wszystko w życiu widział, okrom własnej twarzy.

BALLADA O DZIWNYM BOGU

Raz się urodził, raz tylko umarł,
Po śmierci wierzyć nie chciał, że żył, —
Wzrok miał zbyt sztywny i sztywny humor
I żadnych pragnień i żadnych sił.

Wzrokiem zataczał ogromne kręgi
W światów i wieków bezmierny tłum,
Twardo, jak rotę dziwnej przysięgi
Powtarzał: „Mortuus sum, ergo sum!”

Nie wiedział, czym uległ przemocom
I czy naprawdę ktoś go tak zmógł,
Aż mu bezsenną, bezbrzeżną nocą,
Nie wiedzieć czemu, wyśnił się Bóg.

Bóg, co się siłą własnej ciężkości,
Jak wielka bryła toczy przez świat
I nawet nie zna swojej wielkości
I nie wie nawet, ile ma lat.

Wtedy powoli podniósł się z trumny
I szedł umarły, straszny skrós pól,
Bo lęk go nagle zdjął nierozumny
I wielki smutek i wielki ból.

Omijał wszystkie poboczne stacje,
Szukał Go wszędzie przez mgłę, za mgłą —
Szedł wprost do Boga po informacje
Z krótką modlitwą w oczach: „I co?”

Wreszcie przypadkiem dojrzał zdaleka,
Gdy już z powrotem w grobie miał lec
Że Bóg się przeląkł i że ucieka,
Bo nic mu zgoła nie umie rzec.

Przez pół wieczności biegła im droga,
Nikt nie odszukał śladów ich stóp;
Świat cały struchlał, widząc, jak Boga
Sciga szalony, złowrogi trup.

A gdy Go wreszcie w wieczności dopadł,
Poniechał pytań — znalazł już klucz;
Bóg siedział smutny, niczem listopad.
Posępna jesień biła Mu z ócz.

Stanęli cicho gdzieś na zagonie,
Patrzyli w światów ginących miał, —
Bóg chciał się zabić, lecz nie miał w łonie
Serca by zmarło, — więc dalej trwał.

Stwarzał potęgą bożego żaru
Miljony istnień, miljony lat
I sam się siłą swego ciężaru,
Jak wielka bryła toczył przez świat.

O MALARZU ŚLEPYM

Mgła przed oczami bezkształtna
I ciemne, tajemne pieczary, —
Czyż moja doprawdy w tem wina? —
Świat bardzo musi być szary...

Któżeś ty, mocy przemocna,
Że trawisz mnie tak i przepalasz? —
Mówią, żeś ślepiec, — gdy każesz,
Jestem malarz.

Choć nigdy się znikąd nie dowiem,
Jak ceniom mym przydać rumieniec,
Któż rzec się ośmieli, żeś tylko
Ślepy szaleniec?

Wiecznie ten mrok niewidzialny
Jedynym dla nas kolorem...
Świat jest głęboki i pusty,
Świat jest wieczorem.

Gdyby dotknięciem świetlistem
Rozjaśnić zbolące powieki!
Gdyby malować w powietrzu
Żywiczny wiatr i szum rzeki...

4

Bezduśnie staliśmy w sali
Od płócien ślepca bił mrok;
Tajemne ciemne sylwety
Przyćmiły serca i wzrok.

Świat był nam głęboki i pusty
W tej wielkiej szarej pomrocy —
My chcemy widzieć! Złodzieju,
Oddaj nam światło i oczy!

My chcemy żyć! chcemy widzieć!
Nie pora się teraz litować:
Te straszne, ślepe obrazy
Ukamienować!

5

Zrazu bezbarwnie, bezkształtnie,
Potem, jak cienie cieni,
Potem, jak perły żałobne,
Posypał się grad kamieni.

I nagle wydarł się krzyk
Z struchlałych ludzkich trzew,
Bo z czarnych, pustych obrazów
Trysnęła żywa krew.

UMIERAJĄCY BOG

Stary już jestem... i sił nie mam, dzieci,
By kulę świata w drżącej zdzierzyć dłoni;
W piersi Mejej zegar olbrzymi stuleci
Wolniej już idzie i już ciszej dzwoni...

Lecz, gdy zacięży zbyt ciężar globu,
Przyjdzie stworzenia ostateczna kolej:
W otchłań wieczności, jak trumna w dół grobu,
Świat się zesunie głucho i powoli.

Umierający! czas zaiste pilny,
By Bóg wasz zyskał od was przebaczenie —
Jak o zachodzie blask słońca bezsilny,
Umierające ślę ku wam spojrzenie.

Ta pierś odwieczna coraz mniej już tchu ma,
Słabiej krew płynie w tętnicy wiekowej —
A tylko Moja bolesna zaduma,
Jak mgła wieczorna opływa wam głowy.

Lecz, zanim słowem znów się stanie ciało,
Nim spoczną znojne ducha Mego kości,
Daję wam jeszcze tę niemoc zgrzybiałą
Mojej głębokiej nad wami litości.

SPOTKANIE Z BOGIEM

To mnie boli od dawna, bo wiem, co się stanie:
Gdy mi już między ludźmi zbyt będzie odludnie,
Wydę Mu pokryjomu, cichcem na spotkanie
W jakieś bardzo milczące, letnie popołudnie.

Drogą, gdzie dwurząd topól jedynym jest tłumem.
Zajdę nad srebrną rzekę, rzeka się zamysli,
Potem zjrzy mi w oczy i zagadnie szumem:
„Powiedzcie-ż mi, człowieku, pociście tu przyszli?”

I teraz to nastąpi, co mnie właśnie boli:
Gdy się tak cały wsłucham w jej szum bezpowrotny,
On się będzie, zgarbiony, przechadzał powoli,
Nieskończenie nad brzegiem tej rzeki samotny.

Nie poznam Go — bo skądżeż mi znać boskie znamię? —
(Choć może serce zadrzy w niespodzianym krzyku) —
On przemówi, dłoń swoją kładąc mi na ramię,
W niepojętym dla ducha ludzkiego języku.

Powie mi, że samotność cięży Mu bez granic,
Bo tyle długich wieków sam się musiał nażyć
I że dłużej tak istnieć nie pragnąłby za nic, —
A teraz chciałby ze mną przez chwilę pogwarzyć.

Nie uczynię zadosyć tej prośbie gorącej,
Choć tak jasno, tak jawnie wyrzy Mu z pod powiek,
Niezdolny Go zrozumieć ani nie wiedzący,
Co Mu odrzec i co to za dziwny jest człowiek.

Tylko z ócz nam, jak światło, spłynie żal okrutny,
Świat i rzeka zaszumią przed nami, za nami —
Potem ja, smutny człowiek, i On, Bóg przesmutny.
Miniemy się z westchnieniem, wiekuiście sami.

PRZYCHODZĄ TAKIE CHWILE

PRZYCHODZĄ TAKIE CHWILE

Przychodzą takie chwile, kiedy już sam nie wiem
I nawet nie chcę myśleć, co to wszystko znaczy:
Świat rozpala się dziwnem, ukrytem zarzewiem
I niby jest, jak zawsze — a przecież inaczej.

Ten kasztan, co przed oknem przebujną koronę
Rozpościera na jasnym tle cichego nieba,
Olbrzymieje mi w oczach... Pełną piersią chłonę
Kojącą tajemnicę, że jest tak, jak trzeba.

Olbrzymieje ten kasztan, w bezmiar się rozrasta,
A z nim wszystko dokoła blednie w nieskończoność...
Płynie wielka ulica szumiącego miasta —
Skąd płynie? dokąd? — Nie wiem i nikt nie wie ponoś.

Wkońcu wszystko się gubi, zatracą powoli, —
Lub może ja się wtapiam w tę bogatą zieleń;
Jakby niewysłowiony, balsamiczny olej,
Po brzegi mię przepęlnia wiedza bożych wcieleń.

Chwila cicha i prosta — nie zdobywca era —
Czyż może być swobodniej, pogodniej, przestrzenniej?
Wiem już, że się przedemną jeden świat otwiera,
A w tym świecie Bóg jeden — objawia się zmiennie.

JAK PRZEZ MGŁĘ

Jak przez mgłę widzę złote stoki
I chłodną rzekę i las świeży —
Jak we mgle widzę, w mgle głębokiej
Oddal słonecznych tych bezbrzeży.

Jak przez mgłę... Czemu, ach, dlaczego
Mgła ta się nigdy nie rozplynie?
Wspomnienia śladem rzeki biega,
Nadpływa fala — i wnet ginie.

Jak przez mgłę czuję rzeźwe wonie
I słyszę poszum srebrnej rzeki —
Jak przez mgłę zachód słońca płonie...
Jak we mgle widzę... w mgle dalekiej.

I leśne wzgórza szepcą do mnie
I jasna rzeka śpiewnie szmerze —
Blaski rozlały się ogromnie —
Przeszłość zamarła, przyszłość zemrze.

Przeszłość zamarła — cóż ostanie?
Powiedz mi, lesie! mów mi, rzeko!
W życia bezmiernym oceanie
Świeża wciąż krew, łyż świeże cieką.

Nie chcę ja patrzeć naprzód siebie:
Mroczne przedemną wstają wieki,
Czas je ożywia, czas je grzebie —
O moje lasy, moje rzeki!

JASNOWIDZENIE

Często miewam — poeta rozgwaru i ciszy, —
Świadomość swej niewiedzy i niewiedzę siebie.
Często, w letni podwieczerek, kiedy to się słyszy
Przeogromne milczenie rozblasków na niebie,
Miewam razem ze wszystkim, co mnie oprzestrzenia
Nikłą, niewyczuwalną przyjemność wędnięcia.
Widząc, jak lada obłok powolnie się stara
Rozświecić, rozprzejrzyć, aby go nie było;
Jak kasztan, niby jasna, szmaragdowa mara,
Stoi jedynie poto, aby czuć opłąt,
Bezsilną, niezmożoną rozkosz nieistnienia
I tak w to swoje wielkie nieistnienie wierzy,
Że roztapia spoistą mgłę własnego cienia, —
Doznawam dalekości letnich podwieczerek
I uczyć się — i umiem — nie zaznawać siebie.
I czuję: ja i drzewo i obłok na niebie,
Że chociaż w sobie trwamy, przy sobie stoimy,
To jednak coś nas wzajem ogromnie rozdziela
I byty nasze patrzą na się gdzieś zdaleka;
A potem ta dalekość łagodnie się wciela
W proste, niedociągnięte i rozlewne rymy...
Byt mój wtenczas we wszechświat od siebie ucieka,
Aby był sobie obcy, oddalny, nieznany
I nawskróś się przeniknął we własnym bezednie...
I tem wnikiem w siebie, jak pługiem zorany
Zespala się z wszechświatem w mądrą, bożą jednię.

ZAPOMNIEC JUŻ RAZ O TEM

Zapomnieć już raz o tem, co było tak drogiem,
Zatopić się doszczętnie gdzieś w letejskiem winie,
Zaniechać obcowania z tak dalekim Bogiem ---
Zapomnieć nawet o tej zapomnień godzinie;

Nie pytać, co się ściele za obrębem wzroku,
Nie słuchać cisz zachodnich, z których woła wieczność,
Nie modlić się do światła, co omdlewa w mroku,
Nie milczeć, jeno gromko krzyknąć: „Niedorzeczność!“

Zatopić się w odmętach letejskiego wina,
Nim się zorza wieczorna w tęsknotę rozpęta —
Cóż, kiedy rzeka o tem, szumiąc, przypomina
I wielki głąz przydrożny to wszystko pamięta.

O, PRZYSZŁAŚ ZNOWU

O, przyszłaś znowu... Rozwiniż oczy!
Prawda, że mrok się do pokoju wkradł..
O, tak jest dobrze, kiedy mnie otoczy
Zamglenie rąk twych i cisza twych szat.

Pani jesienna, pani bezimienna,
Dowiem się może wreszcie, ktoś ty jest..
Nazwa twa musi być tak bardzo senna,
Jak każdy dech twój, każdy wiew i gest..

Tak, to ty jesteś — cóż mi po imieniu?
Odnajdę je w uśmiechach twoich ócz, —
W jakimś wieczności łaknącem omdleniu
Znajdę to imię, sezamowy klucz...

Tak, to ty jesteś, do śmierci podobna!
To są twe ręce, umaczane w mgłę,
A to — twarz twoja, milczeniem żałobna —
Tak, to ty jesteś, niedośniony śnie!

Więc przyszłaś znowu i niesiesz naręcze
Pieściwych wzruszeń, majaków i złud;
Wspomnień, zapomnień promienie pajęcze,
Woń jakichś sosen, poszept jakichś wód.

Otul się w senność!.. Łaskawa godzina...

 Za zegar serca starczy mi tik-tak...

Cisza się w sobie, śniąca zapomina,

 Cienie bezwładnie kładą się na wznak...

O, przyszłaś znowu... Rozprasza się, mroczy

 Niedosłyszalny sercu memu świat, —

O, tak jest dobrze, kiedy mnie otoczy

 Zamglenie rąk twych i cisza twych szat.

A KIEDY PÓJDE TAM

A kiedy pójdę tam, skąd już się nie powraca,
Przebyty życia szmat w pobladyłach zamknę oczach
I ten zamierzchły czas, co tak się śmiesznie skraca,
Skąpany w blaskach nieb: w błękitach i przeźroczach.

Uniosę ten swój świat zamknięty drgnieniem powiek,
Że pójdzie za mną w dal błękitną i bez końca;
Uniosę w ową dal, — skrzydlaty snami człowiek, —
Pachnącej trawy pęk i garść szczerego słońca.

I pójdzie za mną w ślad mych wspomnień nieudolność:
Szelestny, szumny bór, zielonych pełny mroków,
Łagodny szmaragd łąk, gorących zbóż śródpolność,
Ukojność płynnych zórz i głośny szept potoków.

Zamglone jakieś wsie i kolorowe miasta,
Ogromnych ulic tłum, jarzący latarniami
Pociągnie za mną w ślad, i smęt ten, co wyrasta,
Niby ciemności słup, kiedy jesteśmy sami.

Tak będą za mną iść te cienie, cienie, cienie,
Tak będą za mną iść, nie mówiąc nawet: po co?
W ten nieskończony kraj, w to wieczne oddalenie —
I drogę mi nawskróś rozzłocą, rozmigocą...

A gdy się droga wzdłuż rozłoci, rozpołudni,
Wpatrzona o ową jaśń, skąd wieczność się uśmiecha:
Zakończy bezkres swój i Bogiem się zaludni —
A z dali będą w dal iść echa, echa, echa...

IDAĆ KOŁO MNIE LUDZIE

Idą koło mnie ludzie, --
Boże mój kochany! —
Leje się szare powietrze.
Boże mój kochany! —
Domy, latarnie, drzewa,
Im dalsze, tem bledsze.

Wiem — gdzieś trza iść, a gdzieś iść nie trza:
Gdzież można iść bez tęsknoty? —
Boże mój kochany! —
Wszędzie jest łyk powietrza...

Znam ten tu koniec ulicy
I ten tam koniec miasta:
A gdzież jest ten koniec nieznanym? —
Boże mój kochany!

KĘDYS NA ŚWIEŻO ZAORANYM ŁANIE

Kędys na świeżo zaorany łanie
Wszystkiego, prócz zorzy, zapomnę —
Nikogo nie będzie, tylko w ciszy stanie
Niebo ogromne.

Dowiem się, jak to godziny się mienią
W zapach zbłąkanej rzeki,
Niepomny nawet, czy przemija chwila,
Czy wieki.

Wiatr gdzieś nad wodę nadwieje, nadchwieje,
Zmarszczy ją w fale, których nikt nie słyszy
I będzie patrzeć, jak sam błękitnieje
Ciszej i ciszej...

Może w blask pójdę, co się we mgle chowa,
Może niemy przystanę nad rzeką —
A wodne fale i słowa i słowa
Będą daleko.

A pod tą głębią nieba,
Co jak wieczność, nie umie uciekać,
Woda zaszemrze mi, że nie trzeba
Na nic już czekać.

Słońce rozprysnie się między sitowiem,
W blask ciepłe oczy otworzę —
I westchnę temi oczami i powiem:
„Mój Boże!“

Wiem, że tak będzie kiedyś... Gruda ziemi
Zmurszała starczy wtedy za pacierze...
Wiem, że mnie wieczność przez chwilę oniemi —
I wierzę.

PŁYNAŁ MYŚLI POWOLI, LENIWO

Płyną myśli powoli, leniwo, jak rzeka, —
Wszystko ginie w zmaganiach z własną swą beziłą, —
Wszak już nic mnie nie goni i nic nie ucieka
I nic z tego, co miało w życiu być, nie było...

Ja już pisać nie będę, tylko w testamencie
Zostawię wam nietkniętą, bladą, jak śmierć, kartę...
Jak są nierozzerwalne zgasłych ócz pieczęcie!
Jakże tajne są rzeczy puste i otwarte!

Któż za mną krwią zapłacze i sercem zaszlocha?
Kto z was będzie mnie czekał w nadaremnym bezśnie? —
Nie, ja wiem, że nie ten jest dostojny, kto kocha,
Nie, ja wiem, że kto umarł, nie umarł przedwcześnie...

Jak boleśnie jest w życiu kiedy życie śni się!
Jak strasznie śmierć mieć w sobie i świat mieć dokoła! —
Otwieram w nocy okno — słychać w mgieł kołysie,
Jak mnie ktoś, kogo niema, woła zdala, woła...

GODZINY SENNE

Godziny senne, zmierzchy jesienne,
Dni, niedojrzane poprzez mgłę łez, --
Serca bez wrażeń, oczy bez marzeń,
Słowa bez echa i słowo: bez...

Dusze odlotne, drogi powrotne,
Cienie, w niezmiernym zbłąkane śnie,
Miasta samotne, równie zawrotne,
Tajemna wiedza: Tak albo Nie.

Żale wieczorne, dzwony nieszporne,
Drogi, w mgłę wszystkich rozwiane dróg, --
Godziny senne, zmierzchy jesienne,
Światy bezdenne i na dnie -- Bóg.

JUŻ OGNIE CICHNĄ W OCZACH

Już ogień cichną w oczach, już słowa w ustach stygną, —
Nadchodzisz. nienazwana, nieznana ty maligno!

Uśmiechnąć się uśmiechem, co nigdy z ust nie spłynie,
Powstrzymać nadmiar nieba we wiecznej tej godzinie...

Zanurzyć się we fale łagodnej mgły-opończy —
Początek się zaczyna i koniec już się kończy.

Nic stąd nie wolno żegnać, nic stamtąd nie trza witać
I próżno za czemś patrzeć i darmo o coś pytać...

Jest tylko bardzo cicho, jest tylko bardzo ciemno,
Jest ktoś, kto się nie lęka być śmiercią i być ze mną.

Lecz nie wiem, ani nawet nie dowiem się, gdy zasnę,
Czy gaśnie świat dokoła, czy ja tak cicho gasnę...

CZAS DZISIAJ DLA MNIE UMARŁ

Czas dzisiaj dla mnie umarł i nastąpiła wieczność;
Długom orał łąn serca, ale znój był żniwny!
Szedł słodki przymus ciszy, szła blasków konieczność,
Świat cały był łagodny, jak ogród oliwny.

Potem — nagle ocknienie i żal, że zapomnę
I życie, jak kołowrót miażdżący i tępy;
Wstają i giną wolno wieki chwil ułomne, —
Jeno te łąy powrotne, jeno wspomnień strzępy...

Poczekajcie, przystańcie, — niech się czoło schyli,
Niechaj serce omdleje, niech spadną powieki,
Niech coś w sobie obudzę cicho — i po chwili
Znow od świata i od was odbiegnę, daleki.

UŚMIECHAM SIĘ DO LUDZI

Uśmiecham się do ludzi, bo mówić nie mogę,
Ani płaczem wybuchnąć — osłabły już dreszcze...
Zbyt dobrze wiem, że małą odbył dotąd drogę,
Lecz nuży mnie ta droga, której nie znam jeszcze.

Same wątle radości, same nikłe smutki...
Gdzież tonąc, gdy dno płytkie nie chce się otwierać? —
Zawczasie idzie zachód — dzień był nazbyt krótki;
Niema czasu na życie, kiedy czas umierać.

A w tych blaskach gasnących czyjeś szepty gasną
I w tej ciszy jest drżąca, niewymowna spowiedź; —
Raz jeszcze chciałbym patrzeć przejrzysto i jasno,
Nim oczy zaczną puścić i niebo jałowić...

Dlaczego mnie tak dręczysz? Czemu nieprzeparcie
Bezsilne usta, łaknąc, krwią pobladłą broczą?
Dlaczego, niby w masce, trwasz w tragicznym żarcie?
Czemu nie chcesz zapomnieć, czemu nie dasz spocząć?...

Dlaczego nie nadchodzisz, godzino daleka? —
Tętnice życia zwiędłe, niech raz pękną, natnij! —
Nikt cię w świecie tak bardzo, jak ja dziś nie czeka
I każdy mój wiersz jest ostatni...

JUŻ NIC MNIE NIE OCALI

Już nic mnie nie ocali. Przestałem już wierzyć
W serce własne, że pęknie — zbyt wolno usycha;
I nie wierzę, że lepiej niżli żyć, jest nie żyć,
Ni w to, że śmierci niema, ni w to, że jest cicha.

I nie wiem, czy nic nie wiem. Zresztą wszystko jedno,
Skoro już ból mnie żaden ni radość nie boli.
Wieczystych ogni niema — wszystkie wkońcu bledną;
Nie trwóście się: czas mija, choć mija powoli...

Nie krzyczę, ani pytam przemyślnie: „Dlaczego?”
Na cóż zda się rozmowa, jak wiatr, bezpowrotna? —
Choć wszystkie drogi wspólnie aż po kres swój biegą,
Droga do mego końca bardzo jest samotna...

NIE PATRZ NA MNIE TAK SMUTNO

Nie patrz na mnie tak smutno, nie stroń, nie uciekaj,
Nie lękaj się łagodnych w moim wzroku skarg —
Droga od oczu do ócz jest bardzo daleka —
Chcę twych spojrzeń, uśmiechów i różowych warg!

Nie pytaj o nic, nie mów! — Liście są zielone.
Patrz: w serca nam rzuciły jakiś jasny ślad —
A jeśli dzisiaj płonę, bardzo cicho płonę —
Wiesz: w sercach mamy okna ogromne na świat.

Czujesz, jak słodko słońce w głąb duszy zapada?
Słyszysz, jak się ten świeży rozszumiał w nas liść? —
Droga serca jest równie spokojna i blada,
Jak ta, po której teraz tak dobrze nam iść...

'Ten zachód, co go widzisz, jeszcze jest przed nami;
Te drzewa będą szumieć nam jeszcze nie raz...
O resztę nie pytajmy, bo zasnuta mgłami:
Bądźmy dzisiaj milczący i mądrzy, jak głąz.

Smucisz się, że ten kamień tak bardzo umarły? —
Nie wchodźmy z życiem o to, co nie nasze, w targ! —
Póki jeszcze zachodnie nas rdze nie nadźarły,
Chcę twych spojrzeń, uśmiechów i różowych warg...

TE USTA DZIWNIE SĄ ŚWIEŻE

Te usta dziwnie są świeże,
Te oczy niezmiernie są jasne, —
Czy ktoś od tych warg mnie oderwie?
Czy kiedyś w tych oczach zagasnę?

Nic chyba nie zdoła odebrać
Łagodnej białości tym dłoniom —
Czy czasy, przestrzenie i ludzie
Tę biel gdzieś mi kiedyś przysłonią?

To czoło wiecznie się mroczy,
To serce wiecznie się pali, —
Czy będę ci bliższy, niż dzisiaj,
Choć los mój rzuci mnie dalej?

Doprawdy, nikt z nas nie wie o tem,
Choć twój i mój czas niedaleki, —
Czyż wiedzą coś o wieczności
Najdłuższe godziny i wieki?...

JEST JESZCZE WE MNIE TA MOC

Jest jeszcze we mnie ta moc potajemna,
Chociaż raz po raz cichnie i omdlewa,
Jest jeszcze we mnie ta rzeka podziemna
I szum się tajny ponad brzeg przelewa, —
Dotąd trwa w głębi ta moc nadaremna...

Jest jeszcze we mnie ten żal, co się lęka,
Że już zapomniał o nieznanych bogach;
Jest jeszcze we mnie i ta Boża Męka,
Ukrzyżowana na rozstajnych drogach, —
Dotąd nie ustał ten żal, co mnie nęka...

Jest jeszcze we mnie ten wicher od pola,
Znojny pot gleby i nieba odbicie,
Jest jeszcze we mnie ta wieża-topola,
Zaryta w ziemię, zgubiona w błękicie —
I wszystka świata dola i niedola.

Jest jeszcze we mnie ta dziwna bezsprzeczność
Wielkich tajemnic na jawie i we śnie
I nieprzeparta moich snów konieczność,
Choć o tem wszystkim śnić tutaj zawczasie, —
Bo trzy są prawdy: życie, śmierć i wieczność!

C Z E K A M

Czekam, czy mi się oczy nareszcie otworzą
I czy moje zamglone, znużone źrenice,
Tknięte wielką światłością, niby dłonią bożą,
Zobaczą w pustce świata wielką tajemnicę.

Czekam, kiedy przemówi ten mój słuch kaleki,
Kiedy zadrzy we wnętrzach, kiedy się obudzi
Na jakiś głos ogromny, idący przez wieki,
Cichszy, niż zapach kwiatu i milczenie ludzi.

Wyciągam w martwą próżnię nabrzmiałe ramiona,
Zaciskam wątłe dłonie i mrok zgarniam w pięście,
Bo czasem mi się zdaje, że to przyszła Ona,
Żem wieczność chwycił w garście, że trzymam w nich szczęście.

Po wielki idą spokój moje niepokoje,
Znużone własną dolą, wieczystą podróżną, —
A czasem w tem czekaniu lękam się i boję, —
Któżby się tego nie bał, — że czekam naprzóżno.

Bo kiedyż przejrzą oczy, oczy niewidzące?
Bo nacóż mi tych uszu, skoro nic nie słyszą?
Kiedyż wniknę w zaświaty, jasne i kojące
Nieznanych źrenic blaskiem, nieznanych ust ciszą?...

Kiedyż zjawią się we mnie pół-słowa, pół-cienie
I ten półsen głęboki, niejasna pół-postać
I smutek tak niezmierny, tak słodkie omdlenie,
Że żadno serce ludzkie nie zdoła mu sprostać...

NIKOGO SIĘ NIE LĘKAM

Nikogo się nie lękam. niczemu się nie dziwię,
Chyba tym gwiazdom cichym, że milczą tak prawdziwie
I rzece, że tak w siebie wpatrzyła się głęboko
I własnym, przyspieszonym nie wiedzieć dokąd krokom...

Albo tym mrącym oczom, że pragną zmartwychwstania,
Choć wielki zegar życia wciąż tylko śmierć wydzwania
I sercu, że nie wierzy w tę śmierć i dotąd nie wie,
Czy lepiej w ludzkiej piersi, czy w niemem szumieć drzewie.

JAK CICHO IDĄ LATA

Jak cicho idą lata,
Jak dziwnie mija dzień, —
Pół życia i pół świata
Zakrywa wielki cień.

Jest most nad senną rzeką,
Jest młyn, pod młynem las, —
Któż wie, czy gdzieś daleko,
Czy właśnie w głębi nas?

Jest dół, wybrany świeżo
I krzyża czarny słupek; —
Czyż wiedzą ci, co wierzą,
Że wieczność da ten grób?

Odchodzi rok za rokiem,
Ktoś chowa je za mgłą, —
Bezsilnym ludzkim wzrokiem,
Czyż można dostrzedz: kto?

A gdy ktoś czasem powie
Garść prostych, jasnych słów,
Widzimy Go w połowie,
By z ócz wnet stracić znów...

Tak cicho idą lata,
Tak dziwnie płyną dni —
Nieznany ogrom świata
W bezładnych snach się śni.

LUDZIOM SMUTNYM

Ludziom smutnym cóż można powiedzieć na drogę? —
Tak bardzo jestem smutny, że nic rzec nie mogę.

Wierzbom cichym nad wodą cóż przyjdzie powiedzieć? —
Samemu trza być wierzbą, żeby o tem wiedzieć.

Chociaż czasem doprawdy zbyt trudno zrozumieć,
Jak można nie być wierzbą i w polu nie szumieć.

Uwierzyć — nazbyt trudno, pamiętać — boleśnie,
Że drzewo jest naprawdę drzewem a nie we śnie.

Dziw tylko, że myśl o tem w naszych snach się mieści
I że serca nie zbraknie na tyle boleści.

BLASK Z ÓCZ, SEN Z POWIEK

Blask z ócz, sen z powiek, uśmiech z ust mi spędzasz...
Wzrok ci i oddech wydałem na łup.
Z wszystkich na świecie najśmieszniejszy nędzarz,
Czekam twych spojrzeń u twych jasnych stóp.

Życ jeno życiem, co umie się nie dzieć!
Blask z ócz, sen z powiek... Czyż wiem, czyliż śmiem
Chociaż to jedno raz napewno wiedzieć:
Sen jest istnieniem, istnienie jest snem.

Ale te wargi palić nie przestaną,
Wszędzie obecne i żywe, jak świat, —
Wiecznie się jątrzysz, ty zapiekła rano!
Blask z ócz, sen z powiek... twój płomień, twój ślad.

Nienasycona serdeczna pożoga!
Sen jest istnieniem, istnienie to mus, —
Ty najpiękniejsza, straszna masko Boga,
Co tak boleśnie w duszę moją wróś!

SERCE CHORE NIE WIDZI JUŻ LEKU

Serce chore nie widzi już leku,
Słowa blade i coraz są bledsze, —
Powiem ci dzisiaj bajkę smutną o człowieku,
Co się w życiu wypalił, jak papieros na wietrze.

I widział tylko jedno:
Że wyśnił, co było do śnicia —
A nie dojrzał, gdzie wreszcie kończy się bezedno,
A gdzie dno ma ta męka niedorzeczna życia...

Czasami wierzył z cicha,
Że śmierć to wszystko uprości, —
Ale bał się, że także tam pociemku czyha
Ta samotność straszliwa, która nie zna litości.

Są bajki — jak ludzie — bezradne,
Są słowa — jak ludzie — bezdomne; —
Kiedyż ja sens tej bajki do wnętrza odgadnę?
Znajdę-z słowo, głębokie, jak studnia: „Zapomnę“ — ?

Wzwyż serca ból zwykł ogromnieć,
Przerasta cię, zanim go spętasz —
Ani coś mogę wiedzieć, ni tego zapamiętać,
Skoro ty, bracie, nie wiesz i ty o tem pamiętasz...

JUŻ WIECZÓR OCZY OKIEN

Już wieczór oczy okien
Rzęsami mroku osnuł —
O, przyjdź, o przyjdź, ukołysz
Znużone życie do snu!

Opierasz się pociemku
O spleźły brzeg fotelu, —
Nachylasz skroń do skroni.
Ukoicielu!

O, czem Ci się wyplące?
Już kieszeń serca pusta! —
Nieznacznie, niewidzialnie
Całujesz zziębłe usta.

Do syta nasyć światłem,
Co z rannych źrenic ścieka, —
Nie odchodź, nie porzucaj,
Podaj mi rękę, poczekaj...

O, nie płoń się, nie znikaj!
Ty przecie się nie śpieszysz? —
Ty jeden z pośród wielu
Rozgrzeszysz mnie pocieszysz...

Już wiem, już mi tłumaczysz
Wpatrzonem w głąb obliczem,
Że albo całym światem
Jest człowiek, albo -- niczem.

Już wieczór oczy okien
Rzęsami mroku osnuł —
Ukołysz do snu życie
I śmierć ukołysz do snu...

PRZYJACIELU

Przyjacielu! jednacy jesteśmy wszak oba;
Własny oddech nas boli, każdy krok nas trudzi, —
Ale powiedz, jak obca nieznana osoba:
Czy jestem, czy nie jestem najsmutniejszy z ludzi?

Choć nie wiesz może o tem, bo nikt ci nie wyśni
Tego, co z memi snami codzien w parze kroczy:
Czyjeś usta, różowsze i świeższe od wiśni,
Czyjeś białe ramiona i głębokie oczy.

I pomyśl — jeśli tylko pomyśleć się wazysz —
Jestem smutny, choć mógłbym do dna być świetlisty:
Niby ostatni w życiu, jedyny towarzyszy,
Idzie w ślad moich spojrzeń czyjś wzrok wiekuisty.



S P I S R Z E C Z Y

Str.

LIST OTWARTY

List otwarty	7
------------------------	---

NA TRZECIM BRZEGU

Na trzecim brzegu	11
Ściana	12
Niesamowita godzina	13
Jazda	15
Zegar	17
On	19
Cień na ścianie	20
Marsz żałobny	22
Dies irae (z łacińskiego)	24

BALLADY — GROTESKI

Ballada o człowieku bez duszy	29
Serce	33
Ballada o błękitnej róży	34
Południca	40
Osmętnica	41
Malarz	42
Pielgrzym	45
Człowiek czterech żywiołów	48
Hamlet w knajpie	50
Kolumb na morzu	51
Słepiec	53

	Str.
Ballada o dziwnym Bogu	55
O malarzu ślepym	57
Umierający Bóg	59
Spotkanie z Bogiem	60

PRZYCHODZĄ TAKIE CHWILE

Przychodzą takie chwile	65
Jak przez mgłę	66
Jasnowidzenie	68
Zapomnieć już raz o tem	69
O, przyszłaś znowu	71
A kiedy pójdę tam	72
Idą koło mnie ludzie	74
Kędyś na świeżo zaorany łąnie	75
Płyną myśli powoli, leniwo	77
Godziny senne	78
Już ognie cichną w oczach	79
Czas dzisiaj dla mnie umarł	80
Uśmiecham się do ludzi	81
Już nic mnie nie ocali	82
Nie patrz na mnie tak smutno	83
Te usta dziwnie są świeże	84
Jest jeszcze we mnie ta moc	85
Czekam	86
Nikogo się nie lękam	88
Jak cicho idą lata	89
Ludziom smutnym	91
Blask z ócz, sen z powiek	92
Serce chore nie widzi już leku	93
Już wieczór oczy okien	94
Przyjacielu	96

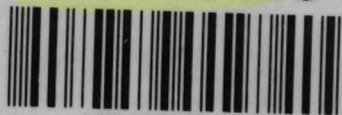
300 —

002438

1371/8

Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

CM 313443



000-313443-00-0